

Skazany bez wyroku

Piotr Ślusarczyk

Historia Tommiego Robinsona pokazuje, że wolność słowa i swoboda działalności publicznej w erze cyfrowej jest zagrożona. Ten konserwatywny aktywista jest od lat nękany przez państwo i korporacje medialne. Cel jest jeden – doprowadzić do śmierci cywilnej człowieka, którego poglądów nie podzielamy. Czy człowieka można wyłączyć, tak jak wyłącza się komputer?

Tommy Robinson, założyciel English Defence League, od dłuższego czasu zajmuje się dziennikarstwem obywatelskim. Nagłaśnia przypadki przestępstw, których sprawcami zwykle są muzułmańscy mężczyźni. Oddaje głos ich ofiarom. Utrudnia tuszowanie i ukrywanie przed opinią publiczną gwałtów i brutalnych napadów. Odrzuca poprawność polityczną, otwarcie krytykując procesy islamizacyjne na Wyspach.

Wszystko to sprawia, że stawiany jest w roli wroga publicznego. Kilkakrotnie trafiał do więzienia za wykroczenia tolerowane u tysięcy innych obywateli (zawyżanie dochodów w związku z ubieganiem się o kredyt) lub spotykał się z sankcjami niewspółmiernymi do przewinień. To fakt, że Tommy Robinson popełniał wykroczenia i nie powinien tego robić, lecz reakcje na jego działania były takie, jakby popełniał najcięższe przestępstwa. Przykładowo sędzia skazywał go za obrazę urzędu za to, że informował o przebiegu procesu, stojąc na schodach gmachu sądu. W związku z tym w jego domu pojawiali się nad ranem policjanci, by aresztować go na oczach żony i dzieci, czyli traktowali go tak, jak szczególnie groźnych przestępców. Prasa pisała, że dopuścił się napaści na policjanta, tymczasem to nieumundurowany funkcjonariusz wmieszał się w bójkę, w której brał udział Robinson. Założyciel EDL pobił człowieka podczas zorganizowanego przez siebie marszu. Istotny jest jednak fakt, że była to odpowiedź

na prowokację neonazisty, który mimo wezwań nie chciał opuścić zgromadzenia, a jego obecność pozwalała utrwać obraz Robinsona jako „prawicowego ekstremisty”. Podkreślić w końcu należy, że zgodnie z prawem nie można karać dwa razy za to samo przewinienie, a popełnianie wykroczeń nie pozbawia człowieka fundamentalnych praw obywatelskich.

Żeby pozbawić kogoś możliwości działania w sferze publicznej, zabierania głosu oraz prawa do obrony... wystarczy go wyłączyć. Po nieudanych (przynajmniej na razie) próbach wsadzenia go do więzienia, otwartą walkę z aktywistą próbują stoczyć medialni giganci. Konto Robinsona na stałe zniknęło z Facebooka oraz Twittera, co pozbawiło go możliwości zabierania głosu we własnej obronie oraz w ogóle działania w sferze publicznej. Pretekstem do ocenzurowania, a następnie usunięcia Robinsona z debaty publicznej były oskarżenia o „mowę nienawiści” wobec muzułmanów. Medialni giganci nie przedstawili jednak żadnych konkretnych dowodów w tej sprawie. Dziś debata publiczna bez mediów społecznościowych jest po prostu niemożliwa. Mało tego, Robinson został pozbawiony możliwości swobodnego zbierania funduszy na swoją działalność. Nie można przekazywać mu darowizn przez PayPal. Podobnie Youtube nie płaci mu za wyświetlane reklamy. Amazon wstrzymał dystrybucję jego książek. Decyzja ta zbiegła się z premierą filmu dokumentalnego na temat manipulacji BBC wymierzonych w Robinsona (pisaliśmy o tym [tutaj](#)). Jednym słowem, ośrodki władzy (także tej medialnej) robią wszystko, żeby zamknąć mu usta i wygasić jego publiczną aktywność.

Żeby pozbawić kogoś możliwości działania w sferze publicznej, zabierania głosu oraz prawa do obrony, nie trzeba wcale wyroków skazujących, wystarczy decyzja właścicieli prywatnych firm. To one dziś decydują o tym, kto może, a kto nie może działać w przestrzeni publicznej. Regulamin Facebooka staje się ważniejszy niż konstytucyjne gwarancje praw obywatelskich. W naszym wspólnym interesie leży, żeby prawo do wypowiedzenia się mógł odbierać tylko sąd prawomocnym wyrokiem. Każdemu

bowiem przysługuje prawo do obrony i korzystania z zasady domniemania niewinności. Niezależnie od tego, czy ktoś jest zwolennikiem tez stawianych przez Robinsona, czy też zaciekle jego przeciwnikiem, powinien stanąć w obronie naszego wspólnego dobra – wolności wypowiedzi.

Sam miałem możliwość przeprowadzenia wywiadu z Robinsonem. Doskonale pamiętam jego treść. Tuż po ukazaniu się brytyjskiej wersji naszej rozmowy filmik został zablokowany na Youtubie, chociaż nie pada tam ani jedno słowo mieszczące się w jakiegokolwiek definicji nienawiści. Wywiad podważał za to obiegową opinię o jego ksenofobii i generalnej niechęci do imigrantów. Pamiętam jak Robinson, podpisując swoją książkę, napisał: „Respect to Poland”.

Jako publicyści i dziennikarze niejednokrotnie (choć w zupełnie innej skali) doświadczyliśmy prób kompromitowania nas. Jeden z dziennikarzy telewizyjnych zachęcał moją koleżkę Jana Wójcika, „by mocniej mówił o muzułmanach”. Chciał zrobić z niego oszołoma, a ten utrudniał mu zadanie, wypowiadając się racjonalnie. Dziennikarz „Gazety Wyborczej” przypisał mi tożsamość działacza Młodzieży Wszechpolskiej, choć moje poglądy zdecydowanie nie mieszczą się w ramach nacjonalizmu, wręcz przeciwnie. Reporter nie zadał sobie nawet trudu, żeby przed postawieniem zarzutów zadzwonić do mnie i pozwolić ustosunkować się do nich. Badacz Konrad Pędziwiatr w publikacji sponsorowanej przez organizację pozarządową (sic!) związaną z reżimem Erdogana kłamał na nasz temat, przypisując nam intencje, których nie mamy, oraz stanowiska, których nie reprezentujemy. Wszystko to sprawia, że staję po stronie wolności słowa, bo wiem, jak łatwo za pomocą mediów dorobić komuś gębę.